

ITD

Tygodnik Studencki
Warszawa, ul. Ordynacka Nr 9

wydanie

18 5-05-1974

Nr z dn.

JANUSZ PŁOŃSKI

Ob
**W ŚRODKU
RZECZY**

Pod koniec 1969 roku biegałem jak opętany po Warszawie usiłując nabyć wydane właśnie „Ulissesa”. Niestety, cały 40-tyśięcny nakład został sprzedany w ciągu kilku dni. Opowiadałem o tym wydarzeniu znajomemu Anglikowi. Nie wierzył, nie mieściło mu się to w głowie. Zrezygnowałem oczywiście z opowiadania, że po kilku tygodniach egzemplarze „Ulissesa” pojawiły się masowo w antykwiariatach lub nie tknięte stały w domowych bibliotekach na honorowych miejscach, świadcząc o rozległych horyzontach intelektualnych właściciela. Po kilku tygodniach odkupiłem więc książkę od kolegi po piórze, który przeczytał już co miał przeczytać i więcej nie chciał. W prezencie ofiarował mi także zakładkę tkwiącą między stronami 462 i 463.

Przeczytałem książkę, co stwierdzam bez dumy, bowiem przeczytać ją raz, to wcale jej nie przeczytać.

W grudniu ubiegłego roku dowiedziałem się, że teatr Ateneum przygotowuje nową inscenizację największego dzieła Joyce’a. Zainteresowałem się „Ulissesem”, ale wówczas spektakl znajdował się w stadium początkowych prób. Zainteresowanie przedstawieniem przytłumiła fascynacja człowiekiem, który je tworzył — Jerzym Grzegorzewskim* — sprawę „Ulissesa” odłożyłem do dnia premiery.

Próby do spektaklu trwały prawie pół miesiąca, co „życiwi” reżyserowi wykorzystywali do snucia katastroficznych wizji. Ich zdaniem tak długie przygotowania musiały zakończyć się kłęską artystyczną widowiska, musiały znużyć aktorów i przytępić spojrzenie reżysera. Niestety, „życiowych” spotkał srogi zawód, w efekcie pięćmiesięcznej pracy całego zespołu powstało jedno z najpiękniejszych widowisk, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć.

* * *

Spektakl zaczyna się tradycyjnie i równie tradycyjnie można by go opowiedzieć, tak jak to robi wielu recenzentów. W przypadku „Bloomusalema” jest to metoda o tyle niedoskonała, że mało kto zadał sobie trud i tak naprawdę zapoznał się z „Ulissesem”. Zatem prócz opowiadania o spektaklu powinienem tu zamieścić również krótkie streszczenie, choćby XV epizodu. Ba, ale to niemożliwe, ponieważ właśnie XV epizod jest kulminacyjnym momentem dzieła, w którym krzyżują się drogi głównych bohaterów, w którym zawarty jest właściwie klucz do odczytania całego utworu. Nie sposób dać go komuś, kto nie zna późniejszych losów Blooma i Stefana i kto nie zna wielu zdarzeń poprzedzających wyprawę do dzielnic domów publicznych. Zdarzeń wykraczających nawet poza ramy „Ulissesa”, bo sięgających aż „Portretu artysty z czasów młodości”. Sytuacja pozornie bez wyjścia. Ale przecież Grzego-

rzewski tworząc spektakl nie wraca do zdarzeń wcześniejszych i nie sygnalizuje późniejszych. Liczy więc jakoś na widza. Być może, spodziewa się, że niektórzy po obejrzeniu przedstawienia sięgną do książki... Nie wiem, ale wydaje mi się, że w równym stopniu mam prawo liczyć na czytelnika, na jego pasję i ciekawość...

Przedstawienie zaczyna się zatem tradycyjnie, podejrzenie może wzbudzać jedynie wykorzystanie części parteru jako widowni, dokładnie pierwszych dziewięciu rzędów. Resztę odgradza od sceny czarna kurtyna, zwisająca z balkonu. Światła powoli wygasają, w trupioniebieskiej poświacie pojawia się na scenie Bloom. Wychodzi na środek sceny, wykrzywia twarz w kierunku widowni... w tym momencie część zajmowana przez widzów zostaje zamknięta czarnymi kotarami, spływającymi z bocznych skrzydeł balkonu, nad głowami pojawia się czarny sufit. Robi się czarno, ciasto, przytłaczająco...

Na scenie pojawia się Cissy Caffrey, dziewczyna widziana tego samego dnia przez Blooma na plaży, przed paroma godzinami opiekująca się troskliwie małym chłopcem na spacerze; teraz dziewczynka z dzielnicy domów publicznych w Dublinie. Pojawia się Wiedźma, Rajfura, pojawia się także Stefan Dedalus z Lynchem, prosto z pijackiej biesiady w klinice położniczej. Wszystko niby przypadkowe, bezwiedne, niezależne jedno od drugiego, ale przecież konsekwentnie zmierzające do finału, którym musi się zakończyć ta wielka „Odyseja” nowożytna — Stefan-Telemach musi znaleźć swego ojca Bloom-Odyseusza-Ulissesa.

Zanim to jednak nastąpi, wszyscy muszą zostać zamienieni w świnię, jak stało się z towarzyszami Telemacha w jaskini Kirke, musi się odbyć szalony sąd nad Bloomem, w którym zarzuca mu się wszystko, co najgorsze, i który w niebываły sposób przekształca się w koronację Blooma. Łajdak Bloom staje się królem, którego potrzebuje biedna Irlandia. „Najmilsi moi poddani, zbliż się brzask nowej ery. Ja, Bloom, powiadam wam, że kołaczę już ona do naszych wrót. A gdy Bloom wyrzeczy słowo, w on czas wnijdziecie do owego miasta złotego, do nowego Bloomusalema, położonego w Nowej Hibernii przyszłości”.

Szczęście nie trwa zbyt długo, pozwolono Bloomowi przez moment upajać się władzą, ale jedynie po to, by natychmiast zepchnąć go jeszcze głębiej w dół. Dramat musi się dopełnić do końca, Bloom prosto z trybuny trafia do przybytku bajzel mamy Belli Cohen...

W inscenizacji Grzegorzewskiego publiczność udaje się niejako za Bloomem. Nieświadomie, bo to akurat pierwszy akt się kończy, na sali rozbłyskują światła, widzowie kierują się więc do hallu na parterze, mówią już o piwie, kawie, wizycie u znajomych, schody się kończą, papieros... i okazuje się, że trafili właś-

nie do lokalu pani-pana Cohen, pierwszorzędnego dziesięcioszylingowego domu. Jest już Bloom, są roznegliżowane panienki, jest także Stefan, a wraz z nim osoby z jego wspomnień dziecięcych: rektor Conmee i surowy ojciec Dolan, który przed laty wlał Stefanowi za stłuczenie okularów. W „Ulissese” zjawiają się postaci z „Portretu artysty...” Koło Blooma pojawia się niejaki Virag, który jest po prostu jego wcześniejszym wcieleniem, wszak ojciec Blooma swego czasu zmienił nazwisko...

Metampsychoza.

Obłędna fantasmagoria w domu publicznym kończy się bójką na ulicy, Bloom ratuje Stefana, idą podtrzymując się wzajemnie i Bloomowi zdaje się przez moment, że podpira swego dawno zmarłego syna Rudiego; Stefanowi, że odnalazł swego duchowego ojca...

„Ulisses” nie należy do najłatwiejszych lektur, nawet jeśli się go odpowiednio dawkuje. Choć również nieprawdą jest, że tej ogromnej powieści nie da się w żaden sposób ogarnąć, że bohaterowie nigdy nie będą nam znani i bliscy. Po swoich doświadczeniach z tą książką w pełni zgadzam się ze zdaniem Macieja Słomczyńskiego: „Jestem absolutnie przekonany, że każdy inteligentny i jako tako czytany człowiek potrafi opanować trudności stylu i pozostałe arkana techniczne tego dzieła, pod warunkiem, oczywiście, że poświęci temu odpowiednią ilość czasu, uwagi i dobrej woli”. Jeden warunek zasługuje na szczególną uwagę: czas. Książkę możemy poznać przez lata, w zależności od indywidualnych potrzeb i możliwości, natomiast czas spektaklu teatralnego jest ściśle określony. Grzegorzewski zaproponował nam jedynie XV epizod, i to w formie skondensowanej.

Zrozumiałe jest więc, że bez odpowiedniego przygotowania próba jakiegokolwiek zrozumienia spektaklu skazana jest z góry na niepowodzenie. Nie znając opowiadanej historii, nie wiedząc nic o jej bohaterach, możemy jedynie uczestniczyć w pięknym misterium plastyczno-muzycznym (autorem muzyki jest Stanisław Radwan), które jest jedynie zewnętrznym kształtem czegoś, co pod nim się ukrywa. Grzegorzewski stworzył oszałamiającą inscenizację, starając się być wiernym wobec autora i swoich wyobrażeń; kto w spektaklu szuka innych intencji albo nawet owego klucza do powieści, w „Ateneum” tego na pewno nie znajdzie.

Gdy patrzę na tłumy pędzące do teatru, na setki zawiedzionych, którzy nie otrzymali biletów, bezwiednie przychodzi mi na myśl sytuacja sprzed pięciu lat, kiedy to w księgarniach pojawiły się pierwsze egzemplarze „Ulissesa”. Przypomina mi się również to, co zdarzyło się parę tygodni później...

* Materiał poświęcony Jerzemu Grzegorzewskiemu drukowaliśmy w ITD nr 8/74.